

Dwaj bracia, haliccy Karaimi, których losy odmieniła wojna

Mieczek i Siunek

Sto lat temu urodził się Józef Sulimowicz, turkolog, oficer, miłośnik książek. Dziesięć lat temu odszedł Edmund Sulimowicz, urzędnik, więzień łagru, równie mocno kochający przedwojenny Halicz, jak i powojenne Świnoujście.



Józef Sulimowicz
(1913-1973)

Archiwum ZKP

Tytuł właściwie nie powinien tak brzmieć. Nigdy przecież się do nich tak nie zwracałam. Ale mowa będzie o kolejach ich życia, a inni tak ich zawsze nazywali. Mieczek i Siunek. Mój Ojciec i mój Stryj. Obaj byli dla mnie niezwykle ważni i obaj wywarli znaczący wpływ na moje życie. I o obu pisanie przychodzi mi z trudnością, choć zupełnie z różnych względów. Ojca właściwie mało znałam. Jego śmierć, poprzedzona dość długim okresem choroby, nastąpiła, gdy miałam dziewięć lat. Nie miałam sposobności wiele o nim zapamiętać – najpierw byłam zbyt mała, gdy nieco podrosłam, też nie było okazji, by spędzać ze sobą dużo czasu, bo pracował, potem poszłam do szkoły. Mój brat był o tyle w szczęśliwszym położeniu, że choroba Ojca i jego przejście na emeryturę wypadły wtedy, gdy szedł do pierwszej klasy – mógł z nim dłużej i częściej przebywać, był też na tyle już duży, by więcej z tego zapamiętać.

Mnie zostały urywki wspomnień z zimowego wyjazdu do Zimnej Wody nad jeziorem Omulew – starannie obierane czerwone jabłko i długie paski skórki wykładane na śnieg pod oknem dla saren i zajęcy (Ojciec otwierał balkonowe drzwi, a ja musiałam się nakryć kołdrą po szyję). Czerwony ognek papierosa zataczający w ciemności naszej domowej łazienki świetliste koła (rozrywka podczas, jak by nie patrzeć, nader nudnego zajęcia: siedzenia na nocniku). Miód na dnie kubka mleka (trzeba było je wypić do dna, by dostać się do słodczy). Nauka liter alfabetu rosyjskiego (pierwsze przeczytane słowo: naklejka „авия” na kopercie listu).

Niełatwo mi o nim pisać, bo czuję, że nie potrafię nasycić wspomnień emocjami. Mogę odtworzyć życiorys Ojca na podstawie dokumentów, pokazać, jak żył, ale nie potrafię

opisać, jakim był człowiekiem. Równie trudno przychodzi mi pisanie o Stryju, ale z wręcz przeciwnych powodów. W tym wypadku wspomnienia budzą emocji zbyt wiele. Z Wujkiem Siunkiem łączyła mnie wyjątkowa więź. To on w dzieciństwie i młodości zastępował mi ojca, a potem, gdy owdowiał, starałam się, by mimo dzielącej nas odległości jak najmniej odczuwał samotność. Jego odejście wciąż jest dla mnie stratą, z którą trudno się pogodzić.

Mimo wszystko spróbuję opisać Ich obu, zebrać to, co udało mi się dowiedzieć o jednym i to, co zapamiętałam o drugim, odtworzyć Ich losy i w ten sposób utrwalić pamięć o Nich.

Mieczek

Ojciec urodził się 25 grudnia 1913 roku w Haliczu. Nie znam jego karaimskiego imienia, Stryj też tego nie wiedział. Czy brzmiało Samuel po dziadku, a może Szałom po pradziadku? Z imionami w ogóle było zamieszanie. Od małego Ojca nazywano Mieczkiem i ponoć dopiero wtedy, gdy szedł do szkoły, okazało się, że ma w metryce wpisane imię Józef. Mieczek dla karaimskich krewnych i znajomych, Mietek dla pozostałych, nagminnie zostawał Mieczysławem. Moja Mama w narzeczeńskich czasach zrobiła mu któregoś razu psikus: zadzwoniła w Nowy Rok i zmienionym głosem złożyła mu życzenia imieninowe. Uprzejmie, acz z irytacją usiłował wytłumaczyć, że on nie Mieczysław i w ogóle imienin nie obchodzi...

Ojciec Ojca, Dziadek Leon był maszynistą kolejowym. Przedtem jednak nauczył się ślusarskiego fachu w terminie u majstra w Stanisławowie – Stryj opowiadał, że kiedyś Dziadek pokazał mu bramę, której okucia zrobił jako czeladnik. Straciwszy w młodym wieku

matkę, Leon szybko się usamodzielniał. Jako 18-latek wyjechał za chlebem za ocean. Po czterech latach wrócił, podjął pracę na kolei, a w 1910 r. ożenił się z Heleną, córką Ezuy Ickowicza, który najpierw był młynarzem w Kunaszowie i Siemikowcach, lecz straciwszy sprawność wskutek wypadku we młynie, zajął się areną karczmy w odległej od Halicza o 17 kilometrów wsi Kończaki. Ojciec był trzecim z piątki dzieci Leona i Heleny. Miał starszego brata, Marka, urodzonego w 1911 r. i siostrę, Annę, która zmarła w niemowlęctwie. Po nim na świat przyszli w 1916 r. druga siostra, również Anna, zwana Nusią i w 1919 r. Edmund, czyli Siunek.

Edukację rozpoczął Ojciec w rodzinnym Haliczu, uczęszczając w latach 1920-1924 do miejscowej 7-klasowej szkoły męskiej. Dalszy etap edukacji stanowiła nauka w II Gimnazjum Państwowym w Stanisławowie. Rozpoczął ją w 1924 r. wraz ze swymi rówieśnikami, także synami halickich maszynistów, Karaimem Abrahamem (Ibrahimem) Samuelowiczem i Polakiem Stanisławem Stępniewskim. Uczniem Ojciec był, łagodnie mówiąc, średnim. O ile w szkole powszechnej miał piątki i czwórki, o tyle na świadectwach z gimnazjum przeważają oceny dostateczne, a i niedostatecznych też nie brakuje. Mógł sobie tylko wyobrazić, co działo się, gdy przynosił takie świadectwa do domu. Dziadek Leon był człowiekiem surowym i wymagającym, a jego system wychowawczy oparty na karach fizycznych wzmagał tylko stres wrażliwego chłopca. Stryj opowiadał, że Ojcu zdarzało się lunatykować – pewnej nocy wybiegł we śnie z domu, innym znów razem wstawił na łóżko ciężką szafkę z książkami. Na półroczne klasy czwartej miał pały aż z sześciu przedmiotów i przerwał naukę. Zamierzał uczyć się w domu, po czym przystąpić do egzaminów uzupełniających, lecz ostatecznie skończyło się na powtórzeniu klasy. Jakoś jednak udało mu się dobrać do matury.

W 1933 r. otwiera się nowy rozdział w jego życiu: studia w Warszawie. 7 października zostaje wpisany w poczet studentów nowo otwartego Instytutu Orientalistycznego na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Zostaje słuchaczem Seminarium Turkologicznego profesora Ananiasza Zajączkowskiego. Uczęszcza też na zajęcia w kierowanej przez profesora Szkole Wschodnioznawczej przy Instytucie Wschodnim, gdzie włącza się w działalność Orientalistycznego Koła Młodych, organizacji młodzieży akademickiej zainteresowanej



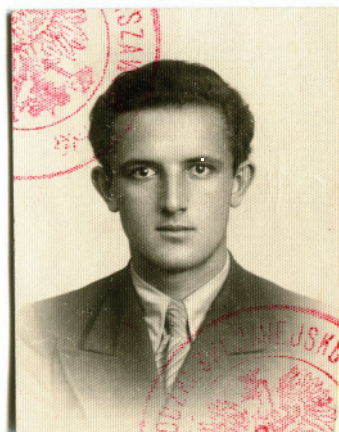
Archiwum ZKP

Maszynista kolejowy Leon Sulimowicz z rodziną. Od lewej: Józef, Leon, Anna, Marek, poniżej Edmund i Helena. Ok. 1925 r.

tematyka wschodoznawczą i ideami prometejskimi. W 1936 r. przebywa na stypendium w Turcji, odwiedza też skupiska Tatarów w Dobrudży. Utrzymuje bliskie kontakty z tatarskimi emigrantami z Krymu – dr. Abdullahem Zihnim Soysalem i Džaferem Sejdametem. Gdy w Warszawie zbiera się Kurultaj – tatarski parlament, przywozi grupę delegatów do Halicza, gdzie są gośćmi miejscowej społeczności karaimskiej.

Lato 1939 r. spędza nad pracą dyplomową poświęconą wydanemu drukiem w 1841 r. w Eupatorii krymskokaraimskiemu przekładowi Biblii. Obrona ma się odbyć po wakacjach, potem czekała praca w powstającym w Trokach muzeum karaimskim, które pomieścić miało eksponaty zebrane przez hachana Hadży Seraję Szapszała, znanego orientalistę... Wszystkie plany obraca w niwecz wybuch II wojny światowej. Jeszcze Ojciec zdąży się spotkać z Abdullahem Zihnim, który przez Halicz kieruje się do Rumunii. Proponuje Mieczkowi wspólny wyjazd, ale Dziadek przekonuje, by został. Są chwile, gdy jedna decyzja zmienia całe życie i tak się stało. Dziś zastanawiam się, jak potoczyłyby się losy Ojca, gdyby wtedy wsiadł do pociągu zmierzającego do Czerniowiec, ale gdyby tak się stało, być może dziś to nie ja, tylko inna córka albo syn by się nad tym zastanawiali...

Przeznaczenie musiało się wypełnić. Nie bez kozery piszę o przeznaczeniu. Po maturze kolega z dzieciństwa Siunek (Ibrahim) Samuelowicz planował karierę zawodowego wojsko-



Józef Sulimowicz
jako student Uniwersytetu
Warszawskiego...

...i jako czerwonoarmista.

Zdjęcie wykonane na
przełomie 1943 i 1944 r.,
gdy oddział, w którym Oj-
ciec służył skierowano do
obsługi składów wojsk
inżynieryjnych w Moskwie.



wego, Ojciec zaś wybierał się na studia turkologiczne. Wobec takich życiowych przełomów postanowili udać się do wróżki, która spojrzawszy w karty, wskazała na Ojca i powiedziała: „Będziesz nosił mundur”, na co Siunek zachnął się, że to przecież on wybiera się do wojska. Wróżka ponoć spojrzała na niego i pokreśliła przecząco głową: „Z ciebie wojskowego nie będzie”. Żartowali z tego po latach, gdy niedoszły oficer był prawnikiem, a kandydat na studia turkologiczne – oficerem.

Najpierw jednak należało się odnaleźć w nowej rzeczywistości, która nastąpiła po wkroczeniu Armii Czerwonej. W lecie 1940 r. został zatrudniony w Rejonowym Inspektoracie Centralnego Urzędu Statystycznego (ЦУ) w Żowtieniu (czyli Jezupolu) jako... ekonomista. Jesienią tego roku spadła na jego barki troska o utrzymanie matki i siostry Nusi – starszy brat, Marek przebywał na Litwie, młodszego, Edmunda wzięto do wojska, gdy więc ojciec, Leon Sulimowicz został aresztowany i skazany na rok więzienia za udział w wypadku na kolei (a właściwie za obecność na miejscu zdarzenia), Ojciec musiał przejąć obowiązki głowy rodziny.

Dwa dni po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej, 23 czerwca 1941 r. został zmobilizowany. Powołanie otrzymał także jego rówieśnik, Edmund Abrahamowicz (Sułtański), ale ten ponoć poszedł żegnać się z przyjaciółką w podhalińskiej wiosce i tak się żegnał i żegnał, aż do czekał wkroczenia Niemców. Ojciec zdążył się zgłosić do Wojenkomatu w Haliczu i podobnie jak wielu młodych ludzi z tych terenów został wcielony do Armii Czerwonej. Kolejny punkt zwrotny, który miał zdeterminować jego dalsze losy.

O tym dramatycznym okresie mówił niewiele, a nam, dzieciom, prawie wcale. Pamiętam tylko opowieść o stosach zamarniętych zwłok Niemców leżących wzdłuż drogi pod Stalingradem i o Wołdze w płomieniach od płonącej ropy (nam przedstawił to zdarzenie w wersji złagodzonej, bo Ewie i Agnieszce, córkom swej koleżanki ze studiów, tłumaczki literatury tureckiej Małgorzaty Łabęckiej-Koecherowej wspominał o płonących trupach unoszących się na wodzie). Pewnego razu w Rabce pokazał nam kwadratowe dziurki od raków w drewnia-

nym słupie telegraficznym i opowiedział, jak wspinał się i zakładał sieć trakcyjną. Kiedyś powiedział też: „Widziałem straszne rzeczy”, ale nie podał żadnych szczegółów. Przytoczę więc (z drobnymi skrótami) spisany przez niego prawdopodobnie już w latach 50. przebieg służby w armii ZSRR: „24.06.41 zostałem wcielony do Ruchomego Szpitala Polowego. Nasz szpital współdziałał z 99 Szpitalem Ewakuacyjnym. W lipcu oba szpitale zostały rozbite przez hitlerowców, większość stanu osobowego dostała się do niewoli, część zaś, wśród której byłem i ja, zdołała się jednak uratować. W końcu lipca, względnie na początku sierpnia 1941 r. z pozostałości obu szpitali sformowano jeden, zachowując nazwę 99 Szpital Ewakuacyjny. Szpital wchodził w skład wojsk walczących na pld.-zach. froncie, przy czym zajmował się zarówno zbieraniem rannych z pola walki, jak i ewakuacją ich do szpitali na tyłach. (...) 1 lutego 1942 r. wraz z innymi żołnierzami pochodzącymi z zachodniej Ukrainy i Białorusi zostałem odesłany z frontu do 10 zapasowego pułku piechoty w Kamińskiej Stanicy. Po miesięcznym pobycie wraz z kilkoma kompaniami wysłano mnie do Stalingradu, gdzie budowaliśmy kolej od fabryki traktorów do przeprawy na Wołdze. Kiedy zorientowaliśmy się, że tu nie traktują nas jak wojskowych, udaliśmy się do Wojenkomatu po wyjaśnienia. (...) Po pewnym czasie wezwano wszystkich żołnierzy do Wojenkomatu, gdzie wręczono nam książeczki wojskowe z adnotacją „Zmobilizowany do pracy na kolei /NKPS/”.

W sierpniu 1942 r. ewakuowano nas ze Stalingradu, ja wraz z mieszkającym ze mną Jakubem Steinbrecherem spóźniliśmy się na zbiórkę i kiedy przyszedliśmy na dworzec, w pociągu nie było już dla nas miejsca, wobec czego wróciliśmy do naszego kierownictwa robót i za jego pomocą następnego dnia przeprowadziliśmy się za Wołgę. Wojenkomat w Baskunczaku dał nam skierowanie do Astrachania. Tu skierowano nas do batalionu pracy, który pracował przy budowie umocnień pod Astrachaniem. W końcu stycznia batalion został skierowany do Stalingradu. 1 lutego 1943 r. przybyliśmy na miejsce i do marca budowaliśmy kolej.

W marcu 1943 r. zostałem skierowany do nowoformowanego 32. sam[odzielnego] batalionu rozminowania. Po przeszkoleniu we wsi Korowinki w Tuskim obwodzie 2 maja 1943 r. batalion został skierowany nad rzekę Okę pod Mceńskiem, gdzie rozminowywaliśmy drogi i przygotowywaliśmy przeprawę przez rzekę. Mceńsk był wówczas jeszcze zajęty przez Nie-

mców. Około 10-15 lipca batalion nasz został skierowany do miasta Gorkij, gdzie odbudowaliśmy zbombardowaną fabrykę samochodów „GAZ”. W grudniu 1943 r. skierowano nas do Moskwy, gdzie pluton, w którym służyłem, obsługiwał składy wojsk inżynieryjnych (...). Po wojnie spośród kolegów, z którymi służyłem w Czerwonej Armii, spotkałem tylko jednego, Żurakowskiego, chłopca ze wsi Stebno w pow. wołowskim na Dolnym Śląsku”.

Nad Oką formowały się oddziały ludowego WP, jednak Ojcu nie od razu udało się uzyskać do nich przeniesienie. Jediną drogą do polskiego wojska w jego wypadku była służba w pionie polityczno-wychowawczym. Nie było wyboru. W kwietniu 1944 r. pod długich staraniach zostaje wreszcie skierowany do pułku rezerw korpusu oficerskiego Głównego Zarządu Kadr Narkomatu Obrony Narodowej, a stamtąd do Sum, do I Polskiej Armii w ZSRR. Po przeszkoleniu dostaje przydział do 6 Pułku Artylerii Lekkiej 4 Dywizji Piechoty im. Jana Kilińskiego, w szeregach której przejdzie szlak bojowy aż do Łaby.

„Po drodze” w lipcu 1944 r. zahacza o Łuck, gdzie spotyka się z tamtejszymi Karaimami, co opisała Anna Dubińska we wspomnieniu *Garść danych o Karaimach z Łucka* („Awazymy” nr 2, 1999) – w papierach po Ojcu zachowała się „komandirówka” na ten wyjazd „po służebnym diełam”. Dociera pod Warszawę i dowiaduje się, że matka z siostrą Nusią i jej rodziną wyjechały z Halicza i są w Zielonce. Gdy udaje mu się dotrzeć do nich, okazuje się, że tuż przedtem siostra zmarła na tyfus. Koresponduje z bratem swojego szwagra Aleksandra, Danielem Gołubem, również żołnierzem LWP – pisują do siebie na numer poczty polowej, nieświadomi, że obaj stacjonują w odległości kilku kilometrów. Pisz do PKWN w Lublinie, próbując odnaleźć i ściągnąć do polskiego wojska młodych Karaimów wcielonych przymusowo do Armii Czerwonej, Józefa Leonowicza i Michała Abrahamowicza, brata Zygmunta, nie wiedząc, że ten drugi już nie żyje. A pierwszy wkrótce polegnie w walkach na Śląsku.

Gdy wojna wreszcie dobiega końca, porucznik Józef Sulimowicz mógłby znów stać się Józefem Sulimowiczem studentem, a wkrótce zapewne absolwentem turkologii. Planuje powrót na studia. Dokumentacja uniwersytecka została w czasie wojny zniszczona, dlatego 2 października 1945 r. prof. Ananiasz Zajączkowski jako dyrektor odradzającego się Instytutu Orientalistycznego wystawia mu zaświadczenie o odbytych studiach, stwierdzające, że pozostało mu jedynie złożenie pracy magisterskiej i egzaminu końcowego.



Archiwum ZKP

12 października 1945 r. zostaje jednak awansowany na stopień kapitana, a złożona 26 września 1945 r. prośba o przeniesienie z Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, w który przekształcono w międzyczasie 4 Dywizję Piechoty, do Marynarki Wojennej zostaje rozpatrzona pozytywnie. Przenosi się więc na Wybrzeże, gdzie zamieszkała także Babcia, a od 1948 r. jej brat, Szymon Ickowicz („Wujcio Naczelnik”). Uniemożliwia mu to podjęcie studiów w Warszawie. Kolejną próbę podejmuje w 1950 r., gdy Uniwersytet Warszawski ogłasza rejestrację byłych studentów i absolwentów. I tym razem także bezskutecznie, gdyż nie otrzymuje zgody władz wojskowych. Uda mu się to dopiero w 1968 r.

W trudnych powojennych czasach decyzja o pozostaniu w wojsku była zrozumiała. Zawód oficera zapewniał przyzwoity materialny byt i dawał pewne przywileje. Niewiele jednak brakowało, a dobrze zapowiadająca się kariera ległaby w gruzach. W 1949 r. ma miejsce jakieś zdarzenie, którego dokładne okoliczności nie są mi znane (zbyt wesoła zabawa i ryzykowne żarty z ustroju powszechnej szczęśliwości?) zostaje wraz z kilkoma kolegami wyrzucony z marynarki. Dzięki wstawiennictwu gen. Józefa Urbanowicza, dawnego zwierzchnika z czasu wojny, kończy się to dla Ojca przeniesieniem do wojsk lądowych do Wrocławia. Tu awansuje do stopnia podpułkownika.

Z grupą oficerów ludowego WP w już polskim Kołobrzegu. Józef Sulimowicz (w mundurze marynarki wojennej) drugi z prawej. 1946 r.



Archiwum ZKP

Spotkanie turkologów w domu koleżanki ze studiów, Stanisławy Płaskowickiej-Rymkiewicz. Od prawej: Aleksander Dubiński, Józef Sulimowicz i Münevver Borzęcka (Münevver Andaç) żona poety tureckiego Nazıma Hikmeta. Radość pod Warszawą, koniec lat 60.

Z Wrocławia trafia do Warszawy, gdzie zostaje skierowany do Stołecznych Klubów Oficerskich na stanowisko zastępcy, a potem szefa Domu Wojska Polskiego, awansując dalej do stopnia pułkownika. Praca w placówce kulturalnej odpowiadała jego zainteresowaniom i usposobieniu. Chętnie otaczał się literatami, plastykami – i dawał im przy okazji zarobić. Do jego „podopiecznych” należał m.in. zmarły przed dwoma laty Roman Opalka, jeden z najwybitniejszych polskich malarzy, cieszący się uznaniem na świecie. Nie wszystkim się to hołubienie cywilów podobało – teczka z osobistymi papierami Ojca pełna jest odpowiedzi na kolejne donosy i oskarżenia o niegospodarność, zatrudnianie nieodpowiedzialnych i wykazujących niewłaściwą postawę osobników (jak kierownik Estrady DWP, literat Józef Prutkowski). Jedno z takich doniesień skończyło się nawet ukaraniem Ojca grzywną. Od prób zaskodzenia mu i donosów nie uwolnił się także wtedy, gdy w 1960 r. objął stanowisko dyrektora Centralnej Biblioteki Wojskowej. Nie bardzo widać pasował do wojskowego środowiska. „Był to pułkownik nader osobliwy jak na standardy ludowego wojska” – pisze o nim Marek Nowakowski w *Nekropolis*² (popołniając przy tym parę biograficznych nieścisłości). „Karaim, z gminy karaimskiej w Haliczu, syn adwokata, orientalista z zamiłowania. Studia w tym kierunku rozpoczął przed wojną, która całkowicie zmieniła jego losy. Zesłany z rodziną do Kazachstanu, nie zdażył do Andersa i wstąpił do kościuszkowców, przeszedł szlak bojowy do Berlina i pozostał w armii.

Największą jego pasją była historia Karaimów w Polsce (...). W wojsku cichaczem nazywano Sulimowicza Turkiem. Wygląd miał zaiste orientalny i na podobieństwo ludzi Lewantu lubił obierać w palcach paciorki różańca. (...) Też polubiłem Mietka, który po karaimsku na imię miał Jussuf i chętniej ubierał się w cywilny garnitur niż mundur. Urzędował w przestronnym gabinecie wojskowej biblioteki na Szucha (swoista odstawka na boczny tor, ale na wojskowej karierze wcale mu nie zależało) i tam z pasją wertował starodawne woluminy, zbierał dane o historii gmin Karaimów na Krymie, w Trokach, Haliczu”.

Nowakowskiego dziwi, jak ktoś taki potrafił funkcjonować w zhierarchizowanym świecie wojska. „Zastanawiałem się, jak Mietek Sulimowicz godził swój udział w tej powojennej, komunistycznej strukturze wojskowej ze światem swojej młodości w Haliczu, doszczętnie zniszczonym, zapadłym w niebyt. Bo przecież na pewno ważniejszy dla niego był profesor Ananiasz Zajączkowski, znakomity orientalista z Uniwersytetu Warszawskiego, również Karaim, niż cała partyjno-wojskowa wierchuszka, politycy i generałowie po sowieckich akademiach wojskowych. (...) Nigdy go o to nie pytałem, nie śmiałem włączyć z buciorami w jego życie. Bo przecież nawet jak zakładał mundur z pagonami, gwiazdkami i baretkami odznaczeń, to nie przestawał być miękkim, łagodnym cywilem, któremu największą przyjemność sprawiało studiowanie starych ksiąg i rozmowy w dziwnym, gardłowym języku z czarniawymi starszymi panami o śniadej cerze i ostrych, sępicich nosach, którzy go czasem odwiedzali” – pisze w swej literackiej autobiografii zatytułowanej *Pióro*³.

Praca w CBW dała mu możliwość oddawania się największej pasji – książkom ze szczególnym uwzględnieniem tych, które dotyczyły Karaimów i generalnie Orientu oraz rękopisom. Książkami zaczął interesować się znacznie wcześniej. Już ze stypendium w Stambule przywiózł osmańskie manuskrypty. Podczas służby we Wrocławiu do jego rąk trafiały niemieckie publikacje, nierzadko wiekowe i cenne. Teraz zaczął intensywnie lokalizować i w miarę możliwości gromadzić karaimskie rękopisy i wydawnictwa. W swoim dzienniku pisał:

„26.IV.[1962] Kolacja u Jutkiewiczów w Pruszkowie bardzo dobry nastrój – pieśni karaimskie. Pożyczono mi rękopis karaimski z tłumaczeniem snów, różnego rodzaju przepisami medycznymi, wymienieniem dni dobrych do spuszczenia krwi itp.

2 maja 1962. Dziś rano wróciłem z Opola, gdzie byłem 3 dni. Od p. Kaliskiego dostałem i pożyczyłem wiele interesujących drobiazgów rękopiśmiennych, kilka książek karaimskich wydanych w Rosji. (...) Od Sabiny Nowickiej dostałem rękopis r. Józefa Mardkowicza; piękny egzemplarz oprawiony w skórę też chyba przez niego. Dostałem też w podobnym stanie będący jeden tom Sidur wydanego w Kale na Krymie (druk uzupełniony rękopisami też J. Mardkowicza)”.
Obiekty do swojej kolekcji przywoził także z wyjazdów zagranicznych. Kilkakrotnie odwiedził Krym, czy to służbowo, czy w celach leczniczych, i spotkał się z miejscowymi Karaimami (m.in. Semitą Kuszul, Jakowem Kara, rodziną Kefeli z Symferopola, Borysem Kokenajem). Otrzymał od nich różnego rodzaju rękopisy i przedmioty. Jako członek oficjalnej delegacji bratniej armii i były krasnoarmiejec praktycznie nie podlegał kontroli... Podczas wyjazdu w 1957 r. poznał Ewę Skrzypczyk, lekarke z Centralnego Szpitala Klinicznego Wojskowej Akademii Medycznej, moją Mamę, która w obszernych kieszeniach swego płaszcza również pomogła mu to i owo przewieźć... Kontrabanda najwyraźniej zblżyła – 2 lipca 1962 r. wzięli ślub.

Kolejnych eksponatów – i ogromnych wzruszeń – dostarczył pierwszy i jedyny po wojnie wyjazd do Halicza w maju 1964 r. Kolekcja rozrosła się do ponad 150 woluminów, kilkuset różnego rodzaju dokumentów, ponad tysiąca fotografii, a Ojciec stał się wybitnym znawcą karaimskich książek i manuskryptów. Wspólnie z Aleksandrem Dubińskim, z którym łączy go nie tylko wspólnota zainteresowań i więzy rodzinne, ale także szczerą przyjaźń, planowali opracowanie ich katalogu. Zamiar ten jednak pozostał po dziś dzień niezrealizowany.

W 1968 r. powróciła kwestia ukończenia studiów wyższych. W wypadku dyrektora biblioteki brak dyplomu stanowił problem i świetny pretekst do ataków ze strony nieprzychylnie nastawionych osób, a takich i tu nie brakowało. Przy życzliwym poparciu prof. A. Zajączkowskiego jesienią tego roku Ojciec wznawia studia i na podstawie pracy zatytułowanej *Materiał leksykalny krymskokaraimskiego za- bytku językowego (druk z 1734 r.)*⁴ uzyskuje

ostatecznie – po trzydziestu latach od absoltorium – tytuł magistra. Rysuje się przed nim perspektywa rozwijania kariery naukowej. Utrzymuje bliskie kontakty z wybitnymi turkologami i karaimoznawcami N.A. Baskakowem, W.I. Filonenką, K. Musajewem.

Niestety, wszelkie plany przekreśla ciężka choroba. Zdażyliśmy jeszcze pojechać latem na wakacje do Bułgarii. Momentem z tego pobytu, który szczególnie utkwił mi w pamięci, był spacer w Ewksinogradzie, letniej rezydencji bułgarskich carów pod Warną. W jednej z alejek spotkałmy grupę grabiących liście kobiet. Ojciec zagadnął je po turecku. Wyraźnie przestraszone, nie chciały mówić, ale w końcu je przekonał i rozmawiał z nimi przed dłuższą chwilę. Na pożegnanie uściskały go serdecznie i wyciąłowały. Ojciec powiedział, że bardzo się ucieszyły, mogąc porozmawiać w ojczystym języku.

Jakim był człowiekiem? Na to pytanie po części odpowiedzieć może opinia służbowa wydana w 1970 r. – wówczas niezbyt życzliwa, bo wskazująca na te cechy, które w ludowym wojsku cenione nie były: „Energiczny, inteligentny, sprytny. Posiada wrodzony refleks, bystry umysł i zdolność szybkiego przystosowania się do nowych warunków. Przekorny, skłonny do zwady, wybuchowy. Towarzystwo wyrobiony, potrafi się znaleźć w każdej sytuacji. Posiada poczucie humoru

i godności osobistej. (...) Nie zawsze właściwy stosunek do przepisów dyscyplinarnych i porządkowych [wynikający] ze słabego poczucia karności. Pamięć bardzo dobra. Wykazuje dużo inicjatywy w służbie, troskę o rozwój i autorytet placówki [chodzi o CBW]. (...) Kolegów rekrutuje jedynie z własnego kręgu towarzyskiego. [to stwierdzenie ojciec opatrzył na marginesie komentarzem: „Pewno, że nie z kręgów wyższych!”] (...) Wymagający, wykazuje dużo troski o warunki bytowe podległego personelu i uznanie ich pracy”. Opinię kończy zalecenie: „Z uwagi na wysługę lat po osiągnięciu wieku emerytalnego przewiduje się zwolnienie do rezerwy”, które Ojciec skomentował następująco: „Obłudne! Po prostu nie ukrywałem swego sądu o opiniodawcach”.

Zmarł 5 marca 1973 r. Został pochowany z wojskowymi honorami na Cmentarzu Komu-

Z podróży
przywoził rękopisy
i starodruki, a także
wszystko, co było
związane z życiem
i dziejami Karaimów

Zmarł 5 marca 1973 r. Został pochowany z wojskowymi honorami na Cmentarzu Komu-

nalnym (dawnym Wojskowym) na Powązkach. Ale chyba wolałby leżeć gdzie indziej...

Siunek

Edmund Sulimowicz, mój stryj, który zastępował mi ojca. Może to takie rodzinne fatum, bo gdy Marek, najstarszy z braci odszedł od rodziny, jego synowi, Sławkowi „ojcował” mój Ojciec, a nam po przedwczesnej śmierci Ojca – właśnie stryj Siunek. Wakacje w Świnoujściu były nierozłączną częścią naszego dzieciństwa. Nie chodziło tylko o wspaniałą piaszczystą plażę, jedną z najpiękniejszych w Polsce i rozrywki oferowane przez nadmorski kurort, ani o okoliczne sosnowe i bukowe lasy czy tajemniczy, zdziczały park zdrojowy. Atrakcją był pokój Wujka z wiszącymi na ścianach kolekcjami porpczyków i metalowych znaczków oraz wielkie biurko mieszczące rozmaite skarby, które chętnie nam pokazywał, snując przy tym fascynujące opowieści o dawnym Świnoujściu. Potem, gdy Wujek po śmierci żony został sam, częściej zaczął się w nich pojawiać Halicz i jego karaimscy mieszkańcy, czasy dzieciństwa, młodości. Czasem opowieści spleły się ze sobą i myśląc o Haliczu, mówił Świnoujście i na odwrót, ale oboje wiedzieliśmy, o które z tych miejsc chodzi. Jeździłam do niego najczęściej jak mogłam, pod koniec jego życia praktycznie co tydzień, 600 km nocnymi pociągami. Zasiadał w swoim fotelu, ja zajmowałam się pracami domowymi, a on opowiadał. „Ale ja już ci o tym mówiłem...” – zauważał czasem, a ja niezmiennie odpowiadałam: „Nie szkodzi Wujku, chętnie posłucham. A ten koń Monia...? A dom Leonowicza...? A brat kowala...?” Z tych opowieści wylaniał się dawno miniony świat. Widoczni na starych fotografiach ludzie odzyskiwali nazwiska i życiorysy, nigdy niewidziane miejsca stawały się znajome. Także wojenne losy Wujka, o których dopiero po latach zdecydował się opowiedzieć, z lakonicznych, ogólnikowych wzmianek zmieniły się w fascynująca, choć niewesoła opowieść. Ale po kolei.

Urodził się 27 października 1919 r. w Haliczu, a dokładnie „Za rampą” (czyli po drugiej stronie torów kolejowych) w domu Kłakowiczów, gdzie jego rodzice, nie mając jeszcze własnego domu, wynajmowali mieszkanie. Ponoć gdy wieziono go jako kilkudniowego noworodka na *mite* promem przez Dniestr, bo żelazny most był zerwany, „zawiało” go i do końca życia słyszał szum w jednym uchu. Wkrótce rodzina przeniosła się na ulicę Kolejową do własnego domu. Po kilku latach dziadek dobudował dodatkowy pokój – wiązało się z tym jedno z wcześniej-

szych wspomnień Wujka: z córką sąsiadów, La-skowskich, która później zmarła na szkarlatynę, siedzą na desce drewnianego rusztowania i jedzą kuleszę, czyli mamałygę, ugotowaną na gęsto kaszę kukurydzianą, dziewczynka ma na sobie sukienkę w kolorowe kwiatki na ciemnym tle.

Szkoła powszechna w Haliczu – gdy szedł do pierwszej klasy, mieściła się jeszcze w starym, parterowym, drewnianym budynku. Druga klasę rozpoczynał już w nowym, piętrowym (istnieje do dziś) – wspominał, jak marzył, by być już w starszej klasie i mieć zajęcia na piętrze. Tak, w parterowym wówczas poza nielicznymi budynkami Haliczu piętro było atrakcją. Podobnie jak skrzynkowy aparat fotograficzny przywieziony w 1929 r. z Warszawy przez starszych braci czy założona w domu w 1932 r. elektryczność i pryztyczek-elektryczek rażący palce lekkim wyładowaniem przy przekręcaniu.

Do szkółki karaimskiej nie chodził. Religii uczył go Samuel Mortkowicz, brat babki po mieczu, wywodzący się ze znanej hazańskiej rodziny. Przychodził do domu, starzec z siwą brodą, w baraniej czapce i „świtce” – sięgającej połowy ud kurtce z grubego materiału. Stryj do końca życia czytał po hebrajsku (choć nie rozumiał, co) i potrafił wyrecytować z pamięci fragment parasy, który przypadł mu w udziale, gdy po raz pierwszy brał czynny udział w modłach w kienesie.

Przyjaciół miał wśród Karaimów i nie-Karaimów. W „Żydów i Arabów” (odpowiednik „kowbojów i Indian”) bawił się z dziećmi sąsiadów: Polaków Michalików i Kiwerskich, Ukraińców Hładyszewskich, Żydów Wacherów. Jako chłopaki „z Zarzcza” wspólnie toczyli boje z chłopakami „z miasta”. Karaimską paczkę, do której należał, tworzyli synowie hazzana Józek i Zorcio (Zarach) Leonowicze, Ada i Siunka (Amalia) Zarachowiczówny, córki Zaracha, Nesia Abrahamowicz córka Nowacha. Podczas pobytów w Trokach i Wilnie (częstszych, gdy najstarszy brat, Marek ożenił się z Wałą Łobanosówną) zaprzyjaźnił się z Antkiem Maszkiewiczem. Nawet po latach wspominając go, uśmiechał się i mówił „To był fajny koleżka!”. Innym towarzyszem tamtych wakacji był Jurek Kobecki, którego młodsza siostra, Lusja, była obiektem szczególnego zainteresowania młodego Siunka...

We wspomnieniach chętnie wracał (ale koloru granatowego nie znosił, bo kojarzył mu się z mundurkiem) do czasów nauki w Gimnazjum Kupieckim w Stanisławowie. Szkoła ta mieściła się w nowoczesnym, wzniesionym w 1930 r.



Archiwum ZKP

Edmund Sulimowicz
(1919-2003)

budynku przy ulicy Lipowej. Wujek wspominał jasne, przestronne sale i dobrze wyposażone pracownie, nauczycieli: surowego dyrektora szkoły Tadeusza Rottera, uczącego rachunkowości Mieczysława Haftka, „panią od historii” Stefanię Kalfas-Piotrowską, nauczyciela języka polskiego Józefa Stachowicza i innych, szkolne wycieczki w Gorgany i do Gdyni, gdzie pierwszy raz w życiu zobaczył morze.

Szkoły nie ukończył – gdy przeszedł do ostatniej klasy, wybuchła wojna. Przez rok chodził jeszcze do Technikum Radzieckiego Handlu w Stanisławowie, po czym w październiku 1940 r. został wcielony do Armii Czerwonej. Trafił do Czkałowa (Orenburga), do szkoły lotniczej (Первое Чкаловское военное авиационное училище лётчиков им. К.Е.Ворошилова), gdzie kształcił się na nawigatora naziemnej obsługi lotów. I w tym miejscu opowieść Wujka stawała się nader lakoniczna, od razu przechodził do repatriacji w początkach 1946 r. Dopiero po 1989 r. zaczął pomału zdradzać szczegóły swoich wojennych losów. Dowiedziawszy się, że formuje się polska armia, z dwoma kolegami postanowili przedostać się do niej. Udało im się dostać do pociągu jadącego do Buzułuku. Niestety, ogolone głowy młodych żołnierzy zwróciły uwagę patrolu sprawdzającego wagony. Dwóch z trzech uciekinierów wyciągnięto na zewnątrz. Stryj trafił do aresztu, a zaraz potem pod sąd. Miał szczęście – dowódca kompanii, Baszkir (z którym ucinali sobie pogawędki każdy w swoim języku, po karaimsku i po baszkirsku, odkrywając liczne między nimi podobieństwa), zakwalifikował jego czyn nie jako dezercję, lecz „spóźnienie na miejsce zbiórki”. To uratowało Wujka Siunka przed egzekucją. Po latach opowiadał mi, jak sąd złożony z wojskowych politruków, bez prawników, bez obrońców, wydawał taśmowo jeden po drugim wyroki, zaczynając od najcięższych kar. Kara śmierci, trzydzieści lat łagru, dwadzieścia, piętnaście, dziesięć... Stryj był przedostatni, skazano go na 7 lat. Na końcu przed sądem stanął nauczyciel z Leningradu, starszy człowiek wyraźnie zagubiony w wojskowej rzeczywistości. Ten dostał najniższy wymiar. Stryj żałował, że nie udało mu się zachować doręczanego mu wtedy wyroku – tam, gdzie się wkrótce potem znalazł, papier był na wagę złota. Wyrok mu ukradziono – na skręta z machorki.

Trafił do obozu w Kołtubiance. Minął się tam z innym Karaimem, Jerzym Łopatto⁵, właścicielem majątku Szytele, aresztowanym w 1940 r. Jerzemu udało się dostać do Armii Andersa,

z którą przeszedł szlak bojowy. Przed opuszczeniem ZSRR, zimą 1941/1942 r. budował w Kołtubiance ziemianki dla polskich oddziałów. Wujek Siunek zaś pracował tam katorżniczo przez następne lata przy wyrębie lasu. Z jego opowieści o tym strasznym czasie szczególnie zapamiętałam tę o człowieku uderzonym przez sam czubek padającego świerku – zginał na miejscu. Towarzystwo miał stryj nader różnorodne – byli tam więźniowie polityczni i zwykli przestępcy, robotnicy, nauczyciele i popi, Rosjanie, Ukraińcy, Polacy, Niemcy nadwołżańscy (dostawali w paczkach z domu prawdziwy biały chleb), Uzbegy, Kazachowie (niektórzy nie znali nawet rosyjskiego, mówili tylko „maja nie panimajet”), Turcy meschetyńscy, Ormianie, Mordwini... Gdy z wyrębu przenieśli ich do pracy na bezkresnych polach kołchozu pod Orskiem, zaprzyjaźnił się z rodziną Iziumskich, kołchoźników z Ukrainy, którzy przeżyli Wielki Głód. Wspominał tych ludzi ze szczerą sympatią i wdzięcznością – za chwile normalności w nie-normalnym świecie. Fotografia, którą ofiarowali mu wtedy na pamiątkę, przetrwała – ze sztywnego papieru nie dało się zrobić skręta.

Obóz pracy opuścił latem 1945 r., zwolniony na mocy amnestii. Wczesną jesienią udało mu się zatrudnić na targowisku miejskim w Buzułuku, gdzie z grupą innych byłych więźniów rozładowywał towary. Choć wolny, nadal cierpiał głód – opowiadał o uczcie, gdy dostali tzw. chałwę, czyli wytłoki z olejarni i o tym, jak potwornie rozboleły ich od tego brzuchy. W październiku wyruszył w drogę do domu, do Halicza. Podróż trwała miesiąc. Na miejscu dowiedział się, że matka i siostra wyjechały jeszcze w 1944 r. do Warszawy, w domu mieszkali



„Fajne koleżki”. Edmund Sulimowicz i Antoni Maszkiewicz. Wilno, 1936 r.

Kołchoźnicy Iziumscy, dobrzy ludzie spotkani w strasznych czasach.



Archiwum ZKP



Archiwum ZKP

Kierownik stacji meteorologicznej na stanowisku pracy. Świnoujście, 1956 r.

Podczas rozmów z dowódcą Floty Bałtyckiej. Pierwszy z lewej Edmund Sulimowicz, trzeci - Julian Markiewicz. Świnoujście, 1966 r.

obcy ludzie, nocą grasowały oddziały UPA i zwykle bandy. Niby miasto wyglądało prawie tak samo, ale jednocześnie zmieniło się nie do poznania – szedł ulicą Kolejową, mostem, przez Rynek i nie dostrzegał żadnych znajomych twarzy. Zatrzymał się u sąsiadów, Zasiedwołków, prawosławnych. W stojącym do dziś domu w narożniku Rynku, gdzie mieścił się *pasportnyj stoł*, zapisał się na wyjazd do Polski. Zasiedwołkowie, którzy na wojnie stracili jedyne syna, namawiali go, by z nimi został. Ale wiedział już, że matka żyje, z frontu wrócił szczęśliwie także mój Ojciec. Dlatego w styczniu 1946 r. zdecydował się wyjechać transportem repatriacyjnym do Opola, gdzie osiedlili się już inni karaimscy „repatrianci” z Łucka, stamtąd zaś jak najszybciej ruszył do Gdańska. Odszukał w Oliwie ulicę Polanki i zaczął szukać numeru 78. Była zima, wczesny zmierzch, mróz, ale od marszu zrobiło mu się gorąco – doszedł do końca ulicy i nic. Wtedy zorientował się, że numeracja domów biegnie na niemiecką modłę: najpierw jedną stroną, potem drugą i musi wrócić tam, skąd przyszedł. Rodzina w pierwszej chwili go nie poznała – kim jest ten grubas o okrągłej, nalanej twarzy? Nie wiedząc, że to głodowa opuchlizna, ucieszyli się, że tak dobrze wygląda.

O swych wojennych losach nie będzie odtąd wspominał nikomu, nawet nam, aż do przemiany ustrojowej w Polsce. Uda mu się skutecznie ukrywać fakt przesiedlenia wojny w łagrze, choć nie raz był bliski zdemaskowa-

nia, jak np. w 1950 r., gdy stara się o przyjęcie do PZPR (warunek *sine qua non* dalszej pracy jako kierownik stacji meteorologicznej w Świnoujściu, o czym dalej). Opiniujący pisze na podaniu kandydata na członka partii: „Akta przeglądnięte (sic!) należy głębiej przeanalizować przyczyny śmierci ojca, bliżej poznać okoliczności dostania się jego i brata do Z.S.R.R. i do Armii Czerwonej. Charakterystyczne, że od 1941 jest w Armii Czerwonej bez żadnego odznaczenia”. Nieznany z nazwiska funkcjonariusz miał nosa, a może z doświadczenia wiedział, skąd mógł się wziąć ten brak medali...

W październiku 1946 r. we Wrocławiu, w mieszkaniu Wujcia Naczelnika przy ulicy Kazimierza Jagiellończyka Stryj otrzymuje telegram od swojego Ojca: „Natychmiast wyjeżdża Warszawa kurs obserwatorów PIHM – szczególnie Szurka i Rojecki”. Chodziło o kurs obserwatorów meteorologicznych w Państwowym Instytucie Hydrologiczno-Meteorologicznym, gdzie zastępcą dyrektora był prof. Ananiasz Rojecki. Dzięki niemu prace znalazło tam wielu Karaimów, m.in. wspomniany w telegramie Szurka, czyli Aleksander Gołub, owdowiały mąż ich siostry Nusi. Stryj zapisał się na kurs, ukończył go i został skierowany do stacji meteorologicznej w Gdyni, a następnie w Świnoujściu.

W maju 1947 r. po ośmiogodzinnej (sic!) podróży barką ze Szczecina, przemarznięty, bo maj był wyjątkowo chłodny, postawił wreszcie stopę na wyspie Uznam, w mieście, które miało stać się jego nową „małą ojczyzną”. Ożenił się z koleżanką z kursu, Stefanią Poredówną z Płocka i oboje rozpoczęli pracę na stacji. Pomiarów należało dokonywać z określoną częstotliwością, chodzili więc kilka razy dziennie do skrzynki meteorologicznej na wydmach – gęsiego: Wujek, Ciocia, pies Amor i kot...

W 1956 r. za namową Juliana Markiewicza, człowieka, który położył ogromne zasługi dla polskiego Świnoujścia, Stryj przeszedł do pracy w Prezydium Powiatowej Rady Narodowej jako zastępca przewodniczącego Markiewicza. Zajmował się między innymi odzyskaniem terenów miejskich zajętych po wojnie przez Armię Czerwoną. Gdy w 1968 r. Markiewicz został odsunięty, stryj, który jak głosi opinia z tego okresu, „w pracy nie potrafi ustosunkować się krytycznie do osób, z którymi utrzymuje stosunki koleżeńskie i towarzyskie”, trafił na podrzędne stanowisko zastępcy kierownika wydziału budżetowo-gospodarczego, a od 1971 r. do emerytury pracował w dziale organizacyjno-prawnym Miejskiej Rady Narodowej. W 1971 r. uzupełnił niedokończone przed wojną średnie



Fot. A. Rylczyński

wykształcenie, uzyskując maturę w Technikum Ekonomicznym dla Pracujących.

Miał rozliczne zainteresowania, interesował się filatelistyką i numizmatyką, historią drugiej wojny światowej i dziejami sybiraków, największe jednak były dwie jego pasje: Świnoujście i Karaimi. Po przejściu na emeryturę doszła jeszcze trzecia: ogródek działkowy. Bacznie obserwował wszystko, co działo się w ukochanym mieście. Zbierał też wszelkie informacje o Karaimach, przygotował nawet na bazie słownika Aleksandra Mardkowicza słownik polsko-karaimski. Wielką radością – okazją do porozmawiania o karaimskich sprawach i wspomnienia dawnych czasów – były dla niego wizyty w Świnoujściu krewnych i znajomych: Sabiny Nowickiej i jej córki Haliny Morawiec, Eugeniusza Robaczewskiego. Gdy w 1989 r. pojechałam do Halicza, zaopatrzona w szczegółową listę, gdzie co było, kto gdzie mieszkał, gdzie jakie drzewo rosło („W końcu ogrodu, gdzie był rów, pozostałość starorzecza Dniestru – zawsze przed powodzią w nim najpierw pojawiała się woda – rosła wielka stara brzoza, jako dziecko bardzo się bałam widoku na tle nieba czarnych wronich gniazd na jej gałęziach, sprawdź, czy stoi tam jeszcze...”), po powrocie musiałam zdać szczegółową relację. Nie mógł odżalować, że po wojnie nie odwiedził rodzinnego miasta. Pocięczałam go, mówiąc, że dzięki temu zostało mu w pamięci takie, jakie było niegdyś, pełne znajomych widoków, twarzy, zapachów, smaków.

Bardzo zbliżyliśmy się do siebie, gdy po śmierci Cioci w 1988 r. zaczęłam częściej go odwiedzać. Przyjeżdżałam w weekendy, czasem na dłużej, w czasie wakacji czy ferii. Na co dzień stołował się w jadłodajni dla emerytów, lecz gdy przyjeżdżałam, obowiązkowo musiał być obiad na halicką modłę: „szwajneraj”, czyli zapiekane w prochu ziemniaki z ryżem i mięsem – danie, którego przyrządzania babcia Hela nauczyła się podczas ewakuacji do Grazu w 1915 r., tradycyjna babka „kartoflanna”, pierogi z serem lub kartoflami, a latem z jagodami lub czereśniami. Wciąż mam przed oczami widok Wujka siedzącego w swoim fotelu i rozwiązyującego krzyżówki albo przygarbionego przy stole w kuchni i wkładającego papierosa do szklanej fifki. Podnosi głowę i mówi: „Wujcio Naczelnik miał pięknego konika, kazał zaprzęgać go do bryczki, by zawieźć ciocię Andę do szkoły w Wodnikach... Głuchoniemy Marceli, brat cioci Zosi Strycharskiej, wycinał fajki z drewna wiśniowego, zawsze trzymał w kieszeniach pełno kawałków gałązek... Leonowicz, prezes gminy, miał spes-



Archiwum ZKP

Wizyty kuzynki, Sabiny z Eswowiczów Nowickiej i jej córki, Haliny Morawiec niezmiennie były dla Wujka wielką radością i okazją do wspomnień. Świnoujście, 1987 r.

cialną ziemiankę, w której w słomie przechowywano bloki lodu wycięte zimą z Dniestru, latem dostarczano ten lód do pociągu z Warszawy, do chłodzenia napoi podawanych pasażerom w pulmanowskich wagonach... W latach dwudziestych Szymek Ickowicz, Nowcio Szulimowicz, Linka Abrahamowicz i inni z ich pokolenia tańczyli jeszcze kadryla... Po wybuchu wojny, 4 września poszliśmy z chłopakami wykapać się w Dniestrze, pogoda była piękna, pomyśleliśmy: wojna, kto wie, może nie będzie już okazji popływać... Ale ja ci już chyba o tym mówiłem...”

Zmarł po krótkiej, lecz ciężkiej chorobie 30 marca 2003 r. Pochowany został, zgodnie ze swoją wolą, w Świnoujściu.

Anna Sulimowicz

Przypisy

¹ A. Sulimowicz, *Wujcio Naczelnik*, „Awazymyz”, 2(23), 2009, s. 15-16.

² M. Nowakowski, *Nekropolis*, Warszawa, 2005, s. 133-134.

³ M. Nowakowski, *Pióro. Autobiografia literacka*, Warszawa 2012, s. 149-150.

⁴ J. Sulimowicz, *Materiał leksykalny krymskokaraimskiego zabytku językowego (druk z 1731 r.)*, Część I — RO 1972, 35, s. 37-76; Część II — RO 1973, 36, s. 47-104.

⁵ Por. M. E. Zajączkowska-Łopatto, *Droga Jerzego Łopatto*, „Awazymyz” 4(33), 2011, s. 4-8.